

Bitwa o Górny Śląsk w 1939 r.

2 września 2016

Kampania wrześniowa 1939 roku doczekała się już wielu ujęć i opracowań. Z obu zainteresowanych stron oczywiście. Smutne jest to, że niektórzy historycy i politolodzy, szczególnie strony polskiej, nie umieją się wznieść ponad nacjonalizm i próbują różnych sposobów, żeby kampanie lub jej poszczególne epizody na swój sposób upiększyć. W tym celu nawet próbuje się podsunąć czytelnikom oczywistą nieprawdę w rodzaju tej o rzekomej bohaterskiej obronie wieży spadochronowej w Katowicach. Szczególnie smutne jest to, że włożono w tę legendę konkretne osoby i nazwiska. Tłumaczenie, że zrobiono to w epoce PRL, kiedy gwałtownie szukano, na wzór zresztą radziecki bohaterów, a jak nie było rzeczywistych, to tworzone fikcyjnych, jest tylko częściowym i bardzo prymitywnym wytłumaczeniem.

Aktualnie szuka się znów fikcyjnych argumentów na gloryfikację marszałka Edwarda Rydza Śmigłego, czyniąc z niego, prawie bohatera typu, który chciał a nie mógł... A przecież nie jest i nie było żadną tajemnicą że E. Śmigły był po prostu słabym lub miernym dowódcą. To oczywiście nie jest wytłumaczeniem klęski, która ponieśliśmy we wrześniu 1939 r. Wszelkie przesłanki obiektywne przemawiały przecież na korzyść Niemiec – aspekty ekonomiczne, demograficzne, jak i czysto militarne. Niemcy były po prostu znacznie silniejsze a w dodatku zawarcie przez nich sojuszu z ZSRR po prostu zwielokrotniało ich siły. Tu mamy kolejny dowód, że Polska nie potrafiła się odpowiednio zabezpieczyć się, że nasze sojusze z Francją i Zjednoczonym Królestwem były bardziej fikcją niż realizmem itd. [1]. Dowodem jest tu chociażby fakt że kierownictwo polskiego państwa dowiedziało się o tym, że Wielka Brytania udziela Polsce gwarancji z... radia BBC. Później nastąpiły oczywiście rozmowy i wreszcie zawarcie formalnego sojuszu. Zjednoczone Królestwo które zawsze odznaczało się w polityce

międzynarodowej wielką skutecznością i nie mniejszym cynizmem. Po prostu udzieliło Polsce gwarancji suwerenności po to, żeby Polska na pewno powiedziała Niemcom twarde „Nie!” na ich żądania w sprawie korytarza przez Pomorze i Gdańską. Tak się też stało a Brytyjczycy zyskali pewność, że niemiecka agresja zostanie skierowana na pewno na kierunek wschodni.

Przygotowania wojenne Polski też oczywiście nie rozpoczęły się dopiero słynną mobilizacją kartkową w marcu 1939 roku. Był to oczywiście jeden z etapów, bo zdawano sobie sprawę, że wojny uniknąć się już nie da. Nawiązując do dyskusji, jaka toczy się też na łamach portalu Silesia-Schlesien, należy raczej ubolewać, że była to mobilizacja o zbyt nikłych rozmiarach. W jej ramach powołano tylko tzw. rzuty osłonowe, które miały dopiero osłonić prawdziwą i powszechną mobilizację. Niemcy natomiast przeprowadzili swoją mobilizację znacznie sprytniej, po prostu dokonując czterech etapów mobilizacji kartkowej, a na przeprowadzenie „żniw” zmobilizowano po prostu organizację Todta, starsze roczniki Hitlerjugend i dodatkowych rezerwistów. Szczególnie organizacja Todta odgrywała bardzo istotną rolę w logistyce wojskowej Niemiec [2]. Niemcy wykorzystali nawet te słynne cztery dni między 26 sierpnia a pierwszym wrześniem, kiedy to Adolf Hitler, na wieść o formalnym już sojuszu angielsko-polskim, co prawda na krótko, wstrzymał decyzję o ataku. Jednak te cztery dni wystarczyły na mobilizację trzecich rzutów oraz Grupy Armii West, czyli dowodzonej przez gen. Kurta von Hammersteina-Equorda armii, która miała osłonić zachodnią granicę Niemiec. Te słabe zresztą wojska miały zatrzymać na około tydzień ewentualną francuską ofensywę na linii Zygfrida [3]. Jak się później okazało, faktycznie tej ofensywy polskich sojuszników nigdy nie było. Propagandowo tylko przeprowadzono jej mikronamiastkę siłami siedmiu dywizji, które utknęły przed niemieckimi, wcale nie tak silnymi zresztą, umocnieniami.

Najważniejsze były jednak przygotowania materiałowe, organizacyjne itd. Strona polska niestety postępowała znowu w

sposób lekkomyślny, nonszalancki tak, jakby krajowi nic nie groziło. A oto egzemplifikacja. Polska na dzień 1 września 1939 roku dysponowała m.in. oczywiście 116 samolotami bombowymi „Łoś”. Te samoloty były nowocześniejsze, dysponowały lepszymi parametrami niż niemieckie odpowiedniki typu Heinkel 111, czy też Dornier 217. Polskich bombowców było znacznie mniej niż niemieckich, ale odpowiednio użyte np. w nalotach na Berlin lub Wrocław, mogły spowodować znaczne zniszczenia... Niestety w linii tych doskonałych na owe czasy samolotów było tylko 36. Reszta funkcjonowała albo w eskadrach szkolnych, albo w charakterze maszyn dyspozycyjnych dla przewozu dygnitarzy. Polski myśliwiec P-24 nie był lepszy, ale też nie gorszy od współczesnych sobie mutacji, powszechnego wtedy Me-109. Ustępował Messerschmittowi nieco prędkością, ale był za to znacznie bardziej zwrotny [4]. Niestety we wrześniu 1939 roku po stronie polskiej nie wystąpiła żadna maszyna tego typu. Za to sprzedano ok. 150 sztuk do Jugosławii, Grecji i innych państw. Chętnie kupowano tę maszynę, bo była dobra i względnie tania. Samolot szturmowy typu Karaś już w 1939 roku, nowoczesny nie był. Polska natomiast miała w przysłówiowym zanadrzu jego następcę. Był to doskonały jak na ówczesne czasy, samolot szturmowy „Sum”. Tyle, że od 1936 roku wyprodukowano go aż dwie sztuki. Stało się tak, gdyż toczyły się dyskusje o... zaprojektowaniu jeszcze nowocześniejszych konstrukcji.

Polska, obok słynnych „tankietek”, czyli bardzo lekkich czołgów klas TK i TKS, produkowała też od 1936 roku niezły czołg PT-7. Była to licencyjna mutacja brytyjskiego czołgu Vickers. Sygnatura cyfrowa oznaczała, że jest to polski czołg 7-tonowy, czyli jak na początek II wojny wcale nie taki mały. Był to pojazd równorzędny dla niemieckich Panzer I i Panzer II, czyli tych wozów, z którymi Niemcy głównie wybrali się na wojnę z Polską. Oczywiście strona niemiecka posiadała już też cięższe Panzer III i IV, ale było ich w tym czasie bardzo niewiele. Produkcję PT-7 przerwano w 1938 roku na osobisty rozkaz E. Śmigłego, po wyprodukowaniu ok. 180 sztuk. Podobno

marszałek planował wytworzenie znacznie cięższego, 16-tonowego czołgu. Jest to jednak mocno dyskusyjna teza, gdyż choć może takie koncepcje pojawiały się, to planów takiego czołgu nie było. Podobnie sytuacja wyglądała w innych kategoriach systemów uzbrojenia. Polska posiadała doskonale armaty przeciwpancerne 37 mm, produkowane na licencji Boforsa. Te działa przebijały każdy ówczesny pancerz. Polacy mieli też swoją tajną broń – karabin przeciwpancerny, popularnie zwany „szczeniakiem”⁵. Wyprodukowano ponad 1500 egzemplarzy tej doskonałej broni. Była ona jednak otoczona tak wielką tajemnicą, że do linii wprowadzono tylko ok. 300 sztuk. Pozostałe przejechały w skrzyniach granicę rumuńską i węgierską. Pikanterii dodaje fakt, że te skrzynie znajdowały się pod strażą i dowódcy oddziałów, najczęściej nie wiedzieli, co zawierają.

Kolejny aspekt, to organizacja i taktyka polskiej armii na tle przeciwnika. Polscy generałowie niestety, nie raczyli się zapoznać ani z pracami takich teoretyków wojskowości, jak Liddel Hart, John Frederick Charles Fuller czy też bardziej praktyka niż teoretyka – gen. Heinza Guderiana. Jego podstawowa praca „Achtung Panzer” zawierała teorię słynnego później Blitzkriegu [6]. Tu polskich generałów nieco tłumaczy sytuacja. Również generałowie francuscy, poza może wtedy tylko podpułkownikiem Charlesem de Gaullem, jak i angielscy też nie wyciągnęli żadnych wniosków z nowatorskich doktryn, jak również istnienia systemów uzbrojenia. W efekcie Polska posiadała ok. 700 czołgów, ale najwyższa jednostka, w jakiej działały te pojazdy, to... batalion. Niemcy uderzali około 2700 czołgami, ale nawet te polskie 700 maszyn odpowiednio użytych mogły dać znacznie lepsze rezultaty niż używanie pojazdów pancernych tylko do rozpoznania, plutonami...

Polska dywizja piechoty była pod względem liczby żołnierzy praktycznie równorzędna niemieckiej. Również i tutaj nie było jakiegś wielkiej przewagi w broni strzeleckiej. Broni maszynowej Niemcy mieli na szczeblu dywizji, ok. 1,8 razy

więcej, ale nie ona stanowiła o przewadze. Niemiecka dywizja piechoty posiadała około trzykrotną przewagę w artylerii ognia pośredniego. Szczególnie w wojnie ruchowej był to najbardziej istotny aspekt. Ponadto dywizja niemiecka mogła dostać wsparcie ogniem artylerii korpusowej. Tej struktury w polskiej armii po prostu nie było.

Niemiecka dywizja pancerna nie miała swojego odpowiednika po stronie polskiej. Za tego typu związki równoważne, ale już tylko w stosunku do niemieckiej dywizji lekkiej, można w bardzo oględny sposób uznać polskie brygady tj. 10. Brygadę Kawalerii Pancernej płk. Stanisława Maczka oraz Warszawską Brygadę Pancerno-Motorową płk. Stefana Grota-Roweckiego. Jednak były to tylko dwa związki taktyczne, które można uznać za nowoczesne. W dodatku Warszawska Brygada, znajdowała się w stadium organizacji i nie osiągnęła nigdy pełnej zdolności bojowej. Jej udział w walkach był po prostu wymuszony.

Polska posiadała natomiast aż 16 brygad kawalerii. Tu można powiedzieć, nie kryjąc ironii, że posiadaliśmy absolutną przewagę nad stroną niemiecką. Bo przeciwnik użył tylko jednej z posiadanych jeszcze dwóch brygad tego typu. Brygada kawalerii miała być jednostką ruchową. Jej zdolności do pełnego przemieszczania się wyliczano na 80 km na dobę, wobec 30km, wyliczonego dla dywizji piechoty. Był to oczywiście jakiś atut. Jednak pomijając już koszty utrzymania, brygady kawalerii były związkami bardzo słabymi. Siła ognia tej jednostki mogła być porównywalna z pułkiem piechoty. W warunkach walk w obronie, trzeba było odjąć 20% stanu osobowego, bo co piąty żołnierz trzymał konie pozostałych czterech. W czasie przemieszczania się brygada kawalerii była wyjątkowo mało odporna na ogień artylerii, czołgów itd. Nie mówiąc już o ewentualnym ataku z powietrza. Mała siła ognia „delikatność” i trudności zaopatrzeniowe, były mankamentami, których nie mogła zrównoważyć szybkość przemieszczania się kawalerzystów.

Musi zachodzić oczywista kwestia, że mimo licznych

doświadczeń, nie tylko z manewrów wojskowych, marsz. E. Śmigły, który w warunkach polskich był faktycznie militarnym i politycznym dyktatorem, z uporem utrzymywał te drogie i coraz bardziej przestarzałe związki taktyczne. Nawet Francja, w którą Polska była militarnie zapatrzona, nie hołdowała w doktrynie ani praktyce, jednostkom kawalerii. Posiadała natomiast więcej czołgów niż Niemcy. Nie umiała ich natomiast używać... E. Śmigły natomiast żył jeszcze wspomnieniami z wojny polsko-bolszewickiej. Tam kawaleria po obu stronach rzeczywiście odnosiła sukcesy. Przypomnieć tutaj warto marsz Armii Konnej Budionnego, czy też sukcesy Kawaleryjskiego Korpusu Gai Gaja. Warto jednak przypomnieć, że poprzednia wojna była toczona małymi siłami z obu stron na wielkich przestrzeniach [7]. O mechanizacji w zasadzie dopiero myślano.

Przygotowując się do wojny E. Śmigły zlecił jednemu ze zdecydowanie najlepszych dowódców i sztabowców Wojska Polskiego, gen. dyw. Tadeuszowi Kutrzebie opracowanie planu wojny z Niemcami. W założeniu wojna ze strony polskiej miała być obroną terytorium kraju. Jednak to zlecenie było mocno spóźnione. T. Kutrzeba otrzymał na opracowanie tylko ok. 7 miesięcy, a w dodatku zespół, którym dysponował, był zdecydowanie za mały, mimo że pracowali w nim profesjonaliści dużej klasy. W efekcie plan obrony powstał tylko w zarysie, a szczegółowo zdążono tylko opracować plan osłony.

Jednak przygotowania do wojny trwały po jednej i drugiej stronie już od ok. połowy 1937 roku. Obie strony zdawały sobie sprawę ze znaczenia Górnego Śląska jako ośrodka przemysłowego, ludnościowego itd. Od końca 1936 roku w tym regionie, po stronie polskiej oczywiście zaczęto budować betonowe schrony bojowe oraz inne umocnienia. Tyle tylko że z uwagi na stale trudną, ekonomicznie sytuację państwa polskiego, budowano w wolnym tempie. Dopiero praktycznie od 1938 roku budowa schronów bojowych zaczęła przebiegać, znacznie szybciej. Co prawda i tu wystąpiły mankamenty i to spore. Solidne polskie schrony bojowe miały być przystosowane do zamontowania wież

pancernych i artylerii. Pojawiły się jednak kłopoty technologiczne. Przemysł w bardzo wolnym tempie produkował wieże pancerne z przeznaczeniem dla schronów. Jeszcze większe kłopoty sprawiał dobór artylerii dla tych wież... Planowano m.in. zainstalowanie armat długolufowych o kalibrze 76 mm produkcji Boforsa. Jednak te armaty mogły być dostarczone dopiero wiosną 1940 roku. Zainstalowano zatem z zapasu w kilku wypadkach armaty starszego modelu, kalibru 75 mm, tyle że o krótszej lufie, czyli mniejszej sile przebicia. Nie chodzi nawet o konieczność przeróbek, ale armat do dyspozycji było mało. Dlatego w przeważającej większości schronów zainstalowano po prostu tylko karabiny maszynowe, co znacząco obniżało wartość bojową umocnień. Wiadomo, że karabin maszynowy nie był w stanie zatrzymać broni pancernej. Tak się jednak złożyło ze schrony bojowe, przynajmniej na śląskiej części frontu, nie musiały odpierać ataków czołgów.

Śląskie umocnienia budowano głównie na otwartych terenach, poza przestrzeniami zurbanizowanymi. W zamyśle miały one powstrzymywać ataki w różnego rodzaju cieśninach, przesmykach i przelotach w taki sposób, żeby przeciwnik nie mógł obejść miast i oskrzydlić lub nawet przeskrzydlić pozostających tam wojsk strony broniącej się. Należy dodać, że generalnie schrony były dobrze wkomponowane w teren, budowano je w węzłowych punktach itd. Niestety linie schronów były w poszczególnych rejonach niewystarczające. Wyznaczone rejony umocnione znacznie bardziej imponująco wyglądały na mapach sztabowych niż w rzeczywistości. Kilka tygodni przed wybuchem wojny w niektórych rejonach pobudowano również jako uzupełnienia, umocnienia polowo-ziemne.

Główne rejony umocnień biegły od Tarnowskich Gór kilka kilometrów na północ. Linie schronów wybudowano również w Chorzowie, Rudzie Śląskiej, Piekarach, Dąbrówce Wielkiej i jeszcze w kilku innych miejscach. Mimo dużego zaawansowania, linie fortyfikacji były dalekie od ukończenia. Jak wyliczali specjaliści, potrzebne były jeszcze co najmniej dwa lata żeby

solidnie ufortyfikować rejon Górnego Śląska. Ponadto każde zresztą fortyfikacje mają to do siebie, że bardzo szybko się starzeją. Stąd też muszą być nieustannie rozbudowywane

Problemem, który dosłownie spędzał sen z powiek polskim dowódcom i sztabowcom, był natomiast otwarty dość nagle aspekt obrony granicy południowej. Z chwilą upadku państwa czechosłowackiego, do czego Polska też przyłożyła rękę, dość nagle powstał problem. Krótka granica z Protektoratem Czech i Moraw oraz znacznie dłuższa z wasalną wobec A. Hitlera Słowacją nagle stała się wielkim wyzwaniem. Stąd też groziła agresja. Czas na rozsądne przeciwdziałanie zagrożeniu stamtąd był przeraźliwie krótki. Podjęto co prawda rozsądne, ale okazało się wkrótce, zbyt małe kroki do zaryglowania tej strony granicy. Główną linię obrony od południa umieszczono w rejonie Węgierskiej Gorki, na południe od Żywca. Tu schodziły się typowe górskie drogi – cieśniny z kilku przełęczami beskidzkich. Planowano budowę 16 wielkich schronów bojowych z wieżami artyleryjskimi, połączonych rowami łącznikowymi, wyposażonymi w podziemną przewodową sieć łączności, itd. Jednak, mimo że budowano szybko, jak na polskie możliwości, do wybuchu wojny zdołano postawić tylko 5 z planowanych i oczywiście bez kopuł bojowych z artylerią [8]. Sieć łączności biegła na ziemi, bo była tylko położona prowizorycznie. Ponadto w rejonie Zwardonia wybudowano pojedyncze betonowe małe bunkry a w pobliżu Przełęczy Korbielowskiej oraz Glinek, wykopano połowe umocnienia ziemne. Planowano także wybudowanie dla tej linii obronnej, pozycję ryglową już na północ od Żywca, ale też skończyło się na wybudowaniu w rejonie Łodygowic- Pietrzykowic tylko kilku małych betonowych bunkrów. Planowano też budowę umocnień w otwartym rejonie między Czechowicami-Dziedzicami a Pszczyną, ale też skończyło się to, ze względów finansowych, na budowie solidnych, ale pozbawionych wież artyleryjskich kilku średnich schronów w rejonie Czechowic-Dziedzic.

Reasumując – polskie fortyfikacje, mimo że dobrze zaplanowane,

były jeszcze w chwili wybuchu wojny, dalekie od ukończenia. Obok wielkich luk terenowych, podstawowym mankamentem był prawie zupełny brak artylerii zainstalowanej w schronach bojowych.

PolSKI plan obronny opierał się w koncepcji strategicznej na założeniu, że Polska musi się bronić bardzo intensywnie do chwili aż ofensywa brytyjsko-francuska z Zachodu albo złamie opór Niemiec, albo też naruszy ten opór tak dalece, że te ostatnie będą musiały prosić minimum o zawieszenie broni. Stąd też założeniem politycznym ze strony polskiej było, żeby do chwili zachodniej ofensywy stracić jak najmniej w aspekcie terytorialnym. Jak bowiem zakładano, po wojnie nastąpią negocjacje, które niekoniecznie muszą zakończyć się zasadą status quo ante bellum. Zdawano sobie sprawę, że Niemcy, nawet przegrywając na Zachodzie mogą zażądać, zmian granicznych na swoją korzyść w rejonie Pomorza oraz właśnie Śląska. Czy to geopolityczne założenie, nacechowane zresztą wielkim optymizmem i nadmiernym zaufaniem do sojuszników spowodowało, że E. Śmigły ustawił obronę terytorium państwa w możliwie najgorszy, czyli kordonowy sposób? To już dziś trudno stwierdzić.

To, że system kordonowy jest nietrwały, zawodny i bardzo łatwy do przerwania w wybranych przez przeciwnika, zwłaszcza silniejszego, miejscach, powinna podpowiedzieć E. Śmigłemu znajomość historii wojen. Niestety polski marszałek był zaledwie samoukiem a nie profesjonalistą woskowym. W czasie wolnym, zamiast dokształcać się, po prostu zajmował się malowaniem pejzaży. Owszem odbywały się dyskusje. Niektórzy dowódcy z gen. T. Kutrzebą na czele zwracali uwagę, że tego typu strategia obrony jest samobójcza. Po przerwaniu linii obrony w którymkolwiek miejscu, wyścig o dotarcie do kolejnej rubieży obronnej muszą po prostu wygrać Niemcy. Poruszają się oni będą po prostu szybciej – za pomocą czołgów, transporterów i samochodów, podczas gdy większość armii polskiej będzie dysponować wyłącznie nogami. Jednak E. Śmigły był niewzruszony

i korekt do planu nie wprowadził.

Całość polskiego planu obrony opierała się właśnie na swego rodzaju uporczywej obronie obszaru warownego Śląsk. Na Górnym Śląsku polskie wojsko miało się uporczywie bronić po to, żeby inne armie mogły stopniowo wycofać się, nawet za Wisłę, jeżeliby zaszła taka potrzeba. Trzeba zatem zadać pytanie, czy armia „Kraków”, bo to ona broniła Śląska, dowodzona przez znakomitego dowódcę gen. Antoniego Szylinga miała szanse wykonać plan E. Śmigłego? Była to zdecydowanie, najsilniejsza armia polska pierwszego rzutu obronnego. Składała się z 5 dywizji piechoty, brygady kawalerii, brygady górskiej i brygady kawalerii pancernej – jednej z dwóch w ówczesnym wojsku polskim. Ta ostatnia była zresztą od pierwszej chwili traktowana jako armijny odwód [9]. Trzeba uzupełnić podane wyżej informacje. Jedna z dywizji piechoty obsadzała właśnie umocnienia i fortyfikacje górnośląskie. Była to typowa dywizja forteczna, wyposażona dość jednostronnie do walki w obronie fortyfikacji. Pozostałe dywizje natomiast były typowymi polskimi dywizjami piechoty. Śląska Cieszyńskiego broniła dwudywizyjna grupa operacyjna „Bielsko” pod dowództwem również znakomitego dowódcy gen. Mieczysława Boruty-Spiechowicza. Jego oddziały miały zamknąć drogę na wschód w rejonie Bielsko-Czechowice-Dziedzice-Pszczyna [10]. Dalej na południe już w Beskidach poszczególne przełęcze obsadzała brygada górską. Wypada tutaj zapytać, dlaczego nie obsadzono wojskiem Zaolzia i rejonu Cieszyna, oddając ten teren z góry w ręce napastnika?

Plan ataku niemieckiego nie był skomplikowany. Niemcy zamierzali po prostu przebić na kilku odcinkach dywizjami pancernymi dość szerokie odcinki polskiej obrony i bardzo szybko iść do przodu, nie zajmując się pozostawionymi w tyle wojskami obrońcy. Zadanie dalszej eliminacji pozostawionej siły żywej i sprzętu przeciwnika, pozostawiano korpusom piechoty. Jeżeli chodzi o rejon Śląska, strona niemiecka znała dość dobrze, a nawet szczegółowo, rozmieszczenie i możliwości bojowe polskich schronów bojowych. Budowy umocnień nie sposób

było ukryć a wśród licznej w tym regionie, mniejszości niemieckiej. W kategoriach natomiast samej walki, Wehrmacht nie miał najmniejszego zamiaru atakować frontalnie polskich umocnień. Plan był zupełnie inny. Górny Śląsk znajdował się na osi natarcia podstawowego niemieckiego frontu, czyli Grupy Armii Południe. To te wojska, dowodzone przez znakomitego dowódcę, wtedy jeszcze generała pułkownika Gerda von Rundstedta, działały w dwóch ugrupowaniach. Na Górny Śląsk nacierała 10. Armia, dowodzona przez bardzo energicznego i zdolnego gen. Walthera von Reichenau [11]. To na osi natarcia tej najsilniejszej armii niemieckiej znajdował się obszar od Pszczyny na południu aż po rejon na północ od Częstochowy. Armia W. Reichenau miała w drugiej fazie wojny skrócić na północ w kierunku ogólnym na Warszawę. Na południowym skrzydle GA Południe, działała 14. Armia gen. Wilhelma von Lista. To zgrupowanie, działając z terenu wasalnej Słowacji oraz w małym stopniu, Protektoratu Czech i Moraw odgrywało rolę typowo oskrzydłającą, choć dominowały w nim dywizje piechoty [12]. Przez przełęcz karpackie oddziały te miały uderzyć na bezpośrednie zaplecze armii „Kraków”. Jeden z korpusów W. Lista atakował również od czoła z zachodu na kierunek Bielska-Białej

Dzień 1 września był dla wielu mieszkańców Polski dużym zaskoczeniem. Społeczeństwo, a przynajmniej jego znaczna część, wierzyło że mimo wszystko wojny nie będzie. Stąd wycie silników samolotowych a później wybuchy bomb, były pewnego rodzaju szokiem. Jednak na Śląsku psychoza wojny trwała już od lata. Bojówki niemieckich Freikorpsów kilkakrotnie usiłowały już około połowy sierpnia dokonywać lokalnych aktów dywersji w obiektach gospodarczych. Z drugiej strony Niemcom zależało na przejęciu śląskich instalacji przemysłowych w stanie niezniszczonym, więc te same bojówki podjęły już w nocy z 31 sierpnia na 1 września akcje, które miały na celu opanowanie i utrzymanie do czasu podejścia własnych wojsk niektórych obiektów przemysłowych

Kilka godzin wcześniej rozegrała się słynna prowokacja gliwicka. A. Hitler chciał mieć pretekst do wojny. Jako taki miał zostać wykorzystany rzekomy napad powstańców śląskich na lokalną radiostację w Gliwicach. Ta radiostacja w niewielkim tylko zakresie nadawała swój własny program. Generalnie pracowała w układzie kompatybilnym z rozgłośnią we Wrocławiu. O godzinie 20.00 z minutami 31 sierpnia, kiedy właśnie radio Wrocław retransmitowało program z Gliwic, słuchacze usłyszeli nagle strzały a chwile później głos w języku polskim oznajmiający, że powstańcy śląscy właśnie przejęli radiostację i ruszają na Wrocław w celu uwolnienia prastarych polskich ziem. Mimo, że Joseph Goebbels bardzo się wysiłał, aby o rzekomym incydencie gliwickim dowiedział się cały świat, zarówno pomysł, jak i wykonanie, odniosło bardzo nikłe skutki zarówno medialne jak i polityczne. Dopiero po wojnie na jednym z procesów norymberskich ujawniono prawdę o incydencie. Akcja Himmler, bo tak nazwano tę prowokację, była przygotowana przez SD. Sturmbannführer Helmuth Naujocks z pięcioma ludźmi z SS, oczywiście w ubraniach cywilnych, opanowali przed godz. 20.00 budynek radiostacji, w którym było tylko czterech ludzi. Potem nadali przywoływany wcześniej komunikat...

Z kolei dywersantom z Freikorpsu w noc poprzedzającą wybuch wojny udało się opanować na kilka godzin kopalnię Karol, Jurand oraz kopalnię i hutę cynku Orzeł Biały. Jednak pododdziały dywizji fortecznej, przy pomocy prawdziwych powstańców śląskich, odbiły te wszystkie przedsięwzięcia. Podobnie nie udało się bojówkom atak na Brzeziny Śląskie, które leżały tuż nad ówczesną granicą oraz na peryferyjne wtedy dzielnice Chorzowa – Maciejowice oraz Michałkowice. Wydawało się, że dywersantom uda się opanować kopalnię Max. Bojówka SA wdarła się w nocy na teren kopalni i do południa 1 września udało się SA-manom ją utrzymać. Tu jednak, podobnie jak w poprzednich sytuacjach, przybycie regularnego oddziału WP rozstrzygnęło sprawę. Praktycznie do wieczora 1 września zlikwidowano wszystkie próby opanowania obiektów czy miejscowości przez paramilitarne bojówki strony niemieckiej.

Trzeba dodać, że już w tej wstępnej fazie walk, strony ponosiły spore straty w ludziach. Bojówkarze niemieccy nie mieli żadnych praw kombatanckich, więc siłą rzeczy byli na ogół eliminowani. Oni sami też raczej jeńców nie brali.

„Nieprzyjaciół kontynuował w dniu dzisiejszym natarcie skupiając swój główny wysiłek na północ od Częstochowy oraz na kierunku Pszczyny i Jordanowa” – tak brzmiał lakoniczny komunikat informacyjny nr 2 Sztabu Naczelnego Wodza [13]. Prawda była jednak znacznie dla strony polskiej gorsza. Meldunek z rozpoznania lotniczego, który dotarł ok. południa 1 września do Sztabu Naczelnego Wodza brzmiał: „Wielka pancerna jednostka nieprzyjacielska przedarła się w rejonie na północ od Częstochowy” [14]. Jednak to była tylko część bardzo niedobrej dla polskiej strony prawdy. Oczywiście Niemcy nie mieli najmniejszego zamiaru atakować frontalnie polskich, nie najsilniejszych ale jednak solidnych umocnień na Śląsku, jak również wikłać się w walki w rejonach zurbanizowanych. Tego typu teren bowiem jest dogodny do długotrwałej obrony, nawet przy znaczącej przewadze przeciwnika.

Na pozycje polskie pod Częstochową spadło najsilniejsze z uderzeń 10. Armii niemieckiej. Pancerny korpus gen. Ericha Höpnera uderzał na północ od miasta. Na samą Częstochowę nacierały dwie dywizje piechoty 4. Korpusu a na południe od miasta dalsze dwie dywizje lekkie (zmotoryzowane), które kierowały się przez Tarnowskie Góry i Koszęcin również na kierunek warszawski. Widać wyraźnie, że punkt ciężkości głównego niemieckiego natarcia koncentrował się w pierwszym etapie, na rejonie Częstochowy, bo tu wiodła najkrótsza trasa na stolicę Polski. Tu trzeba dodać, że polski wywiad bardzo prawidłowo rozpoznał koncentrację niemieckich jednostek. Niestety E. Śmigły nie potrafił z tego wyciągnąć prawidłowych wniosków.

Charakterystycznym jest, że w walce każda strona atakująca stara się znaleźć miejsca styków armii i frontów strony broniącej. Jak wykazuje historia wojen, zwykle są one słabo

zabezpieczone, mimo że na każdej akademii wojennej wpaja się słuchaczom konieczność zabezpieczania styków. Niestety w kampanii wrześniowej styki poszczególnych polskich armii były bardzo słabo zabezpieczone. W rejonie Częstochowy broniła się najbardziej na północ wysunięta, wielka jednostka (dalej WJ) armii „Kraków” – 7. Dywizja Piechoty. Miała ona bronić bardzo rozległego obszaru. Jej front obrony, rozciągał się aż na ok. 40 km. Normy taktyczne tymczasem, przewidywały na obronę 40 km, przeliczeniowo 2,5 dywizji... Dowodził tą dywizją, będący w głębokiej niełasce u E. Śmigłego, gen. bryg. Janusz Gąsiorowski, długoletni szef Sztabu Generalnego w epoce bezpośrednich rządów Józefa Piłsudskiego. Postać tego generała jest oceniana bardzo kontrowersyjnie i w sposób zróżnicowany. Na pewno można go winić za braki w mechanizacji, zbyt powolne reformy itd. Jednak trzeba też pamiętać, że w epoce J. Piłsudskiego odbierano po prostu polecenia od Marszałka. Nikt nie miał ani śmiałości, ani też intelektualnych predyspozycji nie tylko do ewentualnego przeciwstawienia się Marszałkowi, ale też do zaproponowania swoich koncepcji. W każdym razie gen. J. Gąsiorowski był jednym z najbliższych współpracowników J. Piłsudskiego. Po objęciu funkcji szefa GISZ przez E. Śmigłego, został natomiast odsunięty i przesunięty na funkcje trzeciorzędne [15]. Nie można zapominać również o tym, że w 1939 roku gen. J. Gąsiorowski był już poważnie chory. W tak poważnym stanie zdrowia nie powinien absolutnie przebywać w służbie.

Styk 7. Dywizji Piechoty z sąsiednią Wołyńską Brygadą Kawalerii armii „Łódź”, osłaniał szwadron kawalerii tej pierwszej WJ. Jednak skromny szwadron nie mógł powstrzymać głównych sił całej 4. niemieckiej Dywizji Pancernej. Niemcy gładko przełamali tę obronę i poszli szybko naprzód. Również pod Woźnikami, niemiecka 2. Dywizja Lekka, przełamała obronę Krakowskiej Brygady Kawalerii, która musiała w efekcie wycofać się w okolice Zawiercia. W ten sposób 7 DP została okrążona i praktycznie 3 września przestała istnieć jako zwarta jednostka. Większość żołnierzy, wraz z gen. J. Gąsiorowskim

dostała się do niewoli. Zatem w ciągu dosłownie 1,5 dnia na północnym skrzydle armii „Kraków”, wytworzyła się ogromna luka, której nie można już było niczym zapełnić.

Na południu geopolityczne ukształtowanie granicy było wyjątkowo korzystne dla napastnika. Natomiast górski teren zdecydowanie sprzyjał obronie. 8 Korpus niemieckiej 14. Armii atakował z rejonu Gliwic trzema dywizjami w kierunku Mikołowa i Pszczyny. Z kolei 17. Korpus z rejonu Ostrawy i Frydka-Mistka atakował rejon Bielska-Białej oraz jedną dywizją z Czadcy na Żywiec. Dodać trzeba, że wyprowadzono też od razu uderzenie na głębokie tyły armii „Kraków”. Wykonawcą tego zadania był 18. Korpus, który atakował trzema dywizjami w tym jedna pancerną w kierunku na Chabówkę i Nowy Targ. Po trzech dniach wojny do ataku na Polskę ruszyła także całością sił (3 DP) armia słowacka księcia Josefa Tisy [16].

Gen. Jagmin Sadowski, dowódca grupy operacyjnej Śląsk, już w godzinach przedpołudniowych 1 września był dobrze zorientowany, że w jego pasie obrony uderzenie kieruje się na Mikołów, omijając od południa pas śląskich fortyfikacji. Oczywiście dowódca niemieckiego korpusu, gen. Ernst Busch zamierzał już pierwszego dnia wojny przełamać polskie linie obrony. Zarówno w rejonie Łaziska-Mikołów, jak i Kobiór-Pszczyna, opór był skuteczny [17]. Obok wojska po stronie polskiej wystąpiły też, szczególnie w rejonie Gostynia, oddziały powstańców śląskich [18]. Natomiast na styku grup operacyjnych Śląsk i Bielsko zaczął kształtować się kryzys. Niemiecka 5. Dywizja Pancerna, przełamała wysunięte pozycje obrony pod Rybnikiem i Żorami i skierowała się w rejon Wisły Wielkiej i Brzezi. Tu obrona polskiej 6 DP była słaba. 2 września o świcie, w rejonie Goczałkowic, na południe od Pszczyny, niemiecka 5 DPanc. przełamała główną linię obrony polskiej 6 DP. Trzeba dodać, że w odróżnieniu od innych polskich WJ, ta dywizja była dowodzona nieudolnie. Jej dowódca gen. Bernard Mond, który na rautach wykrzykiwał, że jego dywizja pobije „trzy germańskie”, nie miał pojęcia o zasadach

obrony przeciwpancernej. Kierował swoją piechotę na otwarte przestrzenie, gdzie dosłownie była wgniatała gąsienicami czołgów. Zakazał też wydobywania ze skrzyń posiadanych przez dywizję ok. 70 „szczeniaków”, czyli wspomnianych wyżej rusznic przeciwpancernych.

Nastąpiło więc, mówiąc językiem wojskowym, przełamanie z przeskrzydleniem, już w drugim dniu wojny, na newralgicznych stykach armii „Kraków”. Katastrofy nastąpiły również w innych miejscach, jak Bory Tucholskie, przedpoła Łodzi itd. Gen. A. Szyling nie mógł więc absolutnie trwać, będąc tym samym zmuszony do wieczorem 2 września dać rozkaz odwrotu ze Śląska. Uzyskał na to zresztą, akceptację naczelnego wodza. Tu trzeba dodać, że o ile pod Częstochową napastnik praktycznie zwinął całą 7 DP, to reszta WJ, nawet pobita pod Pszczyną, ale nie rozbita zupełnie 6DP, zdołały się w tej fazie wojny wycofać na wschód.

Tymczasem klęska na Śląsku mogła być znacznie poważniejsza, gdyby niemiecka 10. Armia skręciła bardziej na południe, lub też niemiecka 7. Monachijska Dywizja Piechoty była lepiej i sprawniej dowodzona. Odnośnie tej ostatniej – po spędzeniu polskich ubezpieczeń w rejonie Zwardonia, ruszyła dwoma pułkami na Żywiec, a jednym przez Istebną na Wisłę. W Węgierskiej Górze niemiecka dywizja już 2 września w południe podeszła pod niedokończoną jeszcze linię polskich schronów bojowych. Rozpoczęły się walki. Wbrew wszelkiej logice, polski niepełny batalion kpt. Semika, broniący tych słabych jeszcze umocnień, trzymał niemiecką dywizję górską, przez półtora dnia w miejscu. Tu należy podkreślić bohaterstwo obrońców, ale również kiepskie dowodzenie po stronie niemieckiej. Niewykończone umocnienia polskie można było po prostu obejść bez praktycznie własnych strat. Tymczasem niemieccy strzelcy górscy atakowali frontalnie i niezdecydowanie, mimo że należeli do wyborowej jednostki. Prawda była taka, że na kilka dni przed wybuchem wojny dowództwo tej właśnie dywizji objął gen. Eugen Ott na co dzień... inspektor piechoty niemieckiej,

odpowiedzialny za szkolenie, regulaminy itd. [19].

Ponieważ niemiecka 7 DP została zatrzymana i nie mogła, zaskakującym atakiem na Żywiec i Bielsko, przeszkodzić w ewakuacji, można powiedzieć, że zarówno GA Śląsk jak i GA Bielsko w tej fazie walki, zdołały oderwać się od nieprzyjaciela i rozpocząć marsz odwrotowy. Natomiast krwawe walki, mimo że o charakterze lokalnym, rozgrywały się zarówno w rejonie Bielska, jak i w Okręgu Przemysłowym.

Bielsko wraz z Białą stanowiły w okresie międzywojennym duży ośrodek zamieszkiwany przez znaczącą mniejszość niemiecką. Trzeba też zauważyć, że część bielskich Niemców sympatyzowała z ruchem hitlerowskim. W tym mieście silna była partia młodoniemiecka (JDP). Tam też mieszkał i działał jej prezes – nota bene, senator RP Rudolf Wizner. Bojówki tej partii prowadziły praktycznie regularne szkolenie paramilitarne i oczywiście wystąpiły zbrojnie. Już w godzinach wieczornych 1 września część bielskich Niemców zaczęła atakować polskie wojsko i administrację. Kiedy dodatku Niemcy zorientowali się, że polskie wojsko rozpoczyna przygotowania ewakuacyjne, dywersja nasiliła się. Budynek, w którym mieściło się dowództwo 21 DPG, był systematycznie ostrzeliwany z pobliskiej fabryki włókienniczej „Jankowski”. Jednak reakcja była natychmiastowa. Rano 2 września kilka kompani WP skutecznie oczyściło teren z dywersantów, których większość uciekła w kierunku Kamienicy i Wapiennicy. Szereg dywersantów zginęło też w walce, gdyż mimo dobrego uzbrojenia poziom ich wyszkolenia był na ogół słaby²⁰. Po stronie polskiej w rejonie Bielska wystąpili też starsi harcerze, którzy pełnili rolę łączników i kurierów. Po wycofaniu się 21 DPG z Bielska, w kilka godzin później do miasta wkroczył Wehrmacht.

Dywersanci uaktywniali się także w innych miejscowościach. W Pszczynie zaatakowali opuszczające miasto, 2 batalion 20. Pułku Piechoty. Wystąpili również w Rybniku i Żorach. Inaczej potoczyły się natomiast wypadki w centrum Okręgu Przemysłowego. Tam silne były miejscowe zbiorowości,

powstańców śląskich. Po wycofaniu się z terenu umocnień i garnizonów oddziałów polskich –szczególnie chodzi tu o dywizję forteczną płk Kalabińskiego, powstała na okres ok. 1,5 dnia pewna pustka operacyjna. Strona niemiecka dysponowała w tym rejonie tylko słabymi oddziałami straży granicznej i pododdziałami trzeciorzutowej 239. Dywizji Piechoty. Wcześniej odgrywały te wojska, rolę oddziałów styczności. Po wycofaniu wojsk polskich począwszy od wieczora 2 września te nieliczne oddziały niemieckie zaczęły ostrożnie wchodzić do obszaru zurbanizowanego. Miejscowi Niemcy jednak nie czekali na wejście swoich wojsk. Upojeni zwycięstwem wywieszali hitlerowskie flagi i świętowali zwycięstwo. W Chorzowie od 3 września rano wisiała na ratuszu hitlerowska flaga. Jednak od strony Katowic przyjechało kilka samochodów ciężarowych z uzbrojonymi powstańcami i ochotnikami. Szybko zdobyto rynek i centrum miasta a na ratuszu wywieszono ponownie polską flagę. 4 września do miasta wkroczyło wojsko niemieckie, które po całodziennych zaciętych, aczkolwiek toczonych małymi siłami walkach, opanowało miasto.

Długotrwałe walki toczyły się w Katowicach. Od wieczora 2 września węzłowe punkty miasta zaczęli obsadzać powstańcy. Zajęli stanowiska ogniowe w takich obiektach centrum, jak Dyrekcja Policji, czy Dyrekcja Kolei, Komunalna Kasa Oszczędności... Również w południowej dzielnicy miasta, obsadzili część Parku Kościuszki i górująca nad miastem Górkę Mikołowską. Komendę obrony miasta zorganizował były powstaniec śląski Jan Fasek i on też jest uważany za faktycznego dowódcę obrony Katowic²¹. Praktycznie Niemcy, znów działając nielicznymi oddziałami od 3 września zdobywali kolejno poszczególne obiekty. 4 września część obrońców centrum wycofała się przez Szopienice w kierunku Sosnowca. Natomiast większość cofała się na południe w kierunku wspomnianej Górki Mikołowskiej. Podejścia do tej pozycji bronili starsi harcerze, zajmujący pozycje w drapaczu chmur. 4 września pozycje obrońców ograniczały się już tylko do Górki Mikołowskiej i prawdopodobnie słabszej pozycji w Parku

Kościuszki. Drapacz chmur został bowiem w 4 września zdobyty.

Górka Mikołowska była to świetna pozycja taktyczna. Jest to miejsce, gdzie dzisiaj znajdują się obiekty katowickiej AWF. Oczywiście w miejscu, gdzie przebiega dziś trasa A4, były zagajniki, które umożliwiały kontakt z Parkiem Kościuszki. Górka była też o ok. 20 m wyższa niż dzisiaj, co pozwoliło na panowanie nad okolicą. Bardzo trudno ocenić dzisiaj, ilu zebrało się obrońców tej pozycji [22]. Mogła to być duża liczba, nawet 60–80 osób.

Wiele danych wskazuje, że powstańcy i towarzyszący im harcerze mieli zamiar przejść przez Park Kościuszki i następnie przez Brynów i Piotrowice do rejonu Bierunia, gdzie spodziewano się zastać jeszcze polskie jednostki. Zatem należy postawić tezę, że obrona Górki Mikołowskiej była to typowa obrona wymuszona. Z tej pozycji można było oczywiście blokować poprzez ostrzał drogę z Katowic na Mikołów i dalej na południe, ale w tym okresie było to już zbędne. Z przeważającym prawdopodobieństwem ta grupa została po prostu zablokowana i broniła się przez kilkanaście godzin, wykorzystując walory taktyczne pozycji. W nocy z 4 na 5 września nastąpiła próba przebicia się na południe, o czym świadczyła ostra wymiana strzałów w południowej części Parku Kościuszki. Również stamtąd przywieziono do Katowic kilkunastu zabitych. Zapewne pewnej części udało się przebić, przez niezbyt szczelną jeszcze blokadę. Niektórzy prawdopodobnie wrócili do Katowic. Oczywiście wszyscy uciekający musieli się obawiać represji, które przecież, aczkolwiek nie w stosunku do wszystkich, nastąpiły.

Tu trzeba zatrzymać się nad piękną, ale niezgodną z prawdą, legendą o rzekomej obronie wieży spadochronowej w Katowicach. Ten obiekt był po prostu nie do obrony i bronić go mogła tylko grupa samobójców. Pomijając fakt, że na wieżę należałoby wnieść ok. 80 worków z piaskiem, co zapewne metalowa konstrukcja by wytrzymała, to trzeba przecież zauważyć że to nie wieża, wyższa o 15 metrów niż obecnie, ale właśnie Górka

Mikołowska i wieże szybowe pobliskiej kopalni Wujek były najwyższymi punktami terenowymi. Z tych dwóch punktów, snajperzy wystrzelaliby obrońców wieży w niecałe pół godziny. Ponadto, broniąc wieży, trzeba było też obsadzić, i to równowartością kompanii, jej okolice. W przeciwnym wypadku saperzy napastnika w ciemnościach zapewne przytwierdziliby ładunki do dwóch z czterech słupów konstrukcji. W rezultacie wieża przewróciłaby się wraz z obrońcami... Ponadto legenda głosi, że bezpośrednie trafienia artylerii niemieckiej zakończyły obronę wieży, zabijając jej obrońców [23]. Jeżeliby pociski trafiły w wieżę, to jej konstrukcja musiałaby być w rezultacie poskręcana wybuchami. Tymczasem wieża, mimo że niższa, jest nieuszkodzona. Jest to ta sama wieża, tyle że kilkakrotnie już pomalowana. Należy sądzić, że rzeczywista obronę Górki Mikołowskiej przesunięto w hagiografii ok. 150 metrów na południe, czyli tam, gdzie była i jest wieża spadochronowa.

Faktem jest natomiast, że grupki powstańców z Gostynia, Łazisk czy Mikołowa uciekły do lasów pszczyńskich. Mimo kilkakrotnych obław, niektórzy przetrwali, korzystając z pomocy rodzin i znajomych aż do wiosny 1940 roku. Były to jednak jednostki. Trudno nawet stwierdzić, że był to początek walk partyzanckich. Takie się zaczęły na małą co prawda skalę, ale w górach.

Walki o Górny Śląsk w kampanii wrześniowej 1939 roku stanowią najbardziej istotną jej część. Tu właśnie cała koncepcja obrony legła dosłownie w gruzach. Dalsze działania wojenne, razem z bitwą nad Bzurą, było już tylko jakby uzupełnieniem. Oczywiście ważnym, ale tylko tyle...

Autorstwo: dr płk Eugeniusz Januła

Źródło: Geopolityka.org

PRZYPISY

[1] J. Ciałowicz, „Polsko-francuski sojusz wojskowy 1921-1939”, MON, Warszawa, 1970, s.67.

- [2] W. Kozaczuk, „Wehrmacht 1933-1939”, MON, Warszawa, 1971., s.340-349.
- [3] T. Jurga, „U kresu drugiej Rzeczypospolitej” KiW, 1979, s. 22-29.
- [4] Ibidem, s. 30-33.
- [5] Ibidem, s. 32-33.
- [6] H. Guderian, „Achtung Panzer”, Berlin, 1937.
- [7] E. Januła, „Cud czy chłodna kalkulacja”, „Trybuna” nr 141/2001.
- [8] W. Steblik, „Zarys działań wojennych armii Kraków w kampanii wrześniowej 1939 roku”, Polski Instytut Historyczny im W. Sikorskiego, Londyn, 1939., s. 23.
- [9] Ibidem, s. 46-52.
- [10] T. Jurga..., s. 34 i nast.
- [11] Szerzej o kwalifikacjach polskich i niemieckich generałów zob. E. Januła „Twórcy sukcesów i klęski” w Silesia-Schlesien.com.
- [12] T. Jurga..., s. 40 i nast.
- [13] „Wojna Obronna Polski. Wybór Dokumentów”, MON, Warszawa, 1972, dok. nr 157, s.144.
- [14] „Polskie Siły Zbrojne”, Londyn, 1948, t. II, cz .2, s 265.
- [15] E. Januła. Twórcy....
- [16] Szerzej o agresji słowackiej – E. Januła „Agresorów było trzech” w „Przegląd” nr 14/2011.
- [17] J. Sadowski, „Działania G0 Śląsk 1-3 września 1939 r.”, „Wojskowy Przegląd Historyczny” nr.1/1960, .s. 229-245.

[18] H. Batowski, „Zdrada monachijska”, Wyd. Poznańskie, Poznań 1973, s. 206-207.

[19] E. Halder, „Dziennik wojenny”, t. 1, MON, Warszawa, 1971, s. 47-55.

[20] Wojna obronna..., dok. nr 558, s. 1022.

[21] „Czy była obrona Katowic”, rozmowa z dr. G. Bębnikiem z IPN, „Dziennik Zachodni”, 25.10.2006 r.

[22] B. T. Wieliński, „Dyskusje o obronie Katowic zdarzały się już przed laty”, „Gazeta Wyborcza”, 21.11.2003.

[23] Por. „Obrona wieży spadochronowej-fakty i kontrowersje”.